

Na pytania trzeba zapracować

Grupa docelowa: Katecheci | Rodzaj nauki: Lektura | Tagi: [Katecheza](#)

Gdy przychodzi ksiądz lub świecki katecheta, młodzież poddaje go próbie, prowokuje go, by usłyszeć znajome słowa: jesteście beznadziejni, do niczego, mam was dość. Wtedy wszystko wróciłoby do normy – świat dorosłych ich odrzuca – mówi Cezary Gawryś, publicysta katolicki, zastępca redaktora naczelnego „Więzi”, katecheta

Alina Petrowa-Wasilewicz: Czy łatwo jest dziś mówić w szkole o Panu Bogu?

Cezary Gawryś: Bardzo trudno. Młodzież jest bierna, nieufna i trudno ją zainteresować czymkolwiek. Katecheta musi przebić się przez mur obojętności. Musi poruszać interesujące tematy, używając żywego języka. Musi też być wiarygodny, zyskać zaufanie młodzieży. To może trwać dobrych parę miesięcy. Na początku podejmowałem nieprawdopodobne wysiłki, żeby zechcieli mnie w ogóle wysłuchać. Zdarzały się klasy, w których prowadzenie lekcji było prawie niemożliwe. Młodzież w szkołach jest nastawiona negatywnie do nauki i chce przechodzić z klasy do klasy kosztem minimalnego wysiłku. Katecheta wchodzi w ten system, a nie może stawiać stopni, które promują do następnej klasy.

Jaka była młodzież w szkole, w której Pan uczył?

– Pracowałem dwa lata w liceum im. Roberta Schumana na warszawskiej Sadybie. Moi uczniowie byli tacy jak ogół polskiej wielkomiejskiej młodzieży. Osób praktykujących i pobożnych było około 20 proc., czyli cztery, pięć na dwadzieścia kilka, było też zawsze kilka osób nastawionych sceptycznie. Niektórzy wręcz deklarowali się jako niewierzący, a ja się z tego bardzo cieszyłem, gdyż wiedziałem, że oni będą stawiać pytania i angażować się w lekcje. Większość pochodziła z katolickich rodzin, ale była raczej obojętna religijnie. Niewielu brało udział w niedzielnej mszy św. W klasach młodszych na religię chodziła większość, w niektórych przedmaturalnych na religię uczęszczała tylko połowa uczniów. Nie znaczy to wcale, że pozostali byli niewierzący. Gdy organizowałem pielgrzymkę dla maturzystów na Jasną Górę, zgłosiło się wielu uczniów, którzy chodzili na etykę. Byli po prostu do religii zniechęceni albo nie mieli w domach wzorca głębokiej religijności. Większość w dzieciństwie aż do I Komunii św. chodziła do kościoła, niektórzy mieli potem niedobre doświadczenia z katechetami. W starszych klasach, gdzie na religię chodziła tylko połowa albo i mniej, było mi łatwiej nawiązać kontakt z uczniami. Pewnie dlatego, że byli dojrzalsi. Natomiast w klasach młodszych, gdzie jeszcze odsiew się nie dokonał i na religię chodziła większość klasy, napotkałem ogromne trudności.

Czy ta młodzież ma jakiegokolwiek zainteresowania?

– Też chciałem to wiedzieć. Zrobiłem im test z pytaniami, jaki ostatnio film obejrzeli, czy przeczytali książkę i czym się interesują lub w co angażują poza szkołą. Okazało się, że tylko nieliczni interesują się sportem, muzyką lub mają jakieś hobby. Zrobiłem im wtedy lekcję pod tytułem „Za mało kochacie samych siebie”. Tłumaczyłem im, że potrójne przykazanie miłości mówi także o miłości do samego siebie, czyli o zauważeniu siebie, swoich talentów i zdolności, dbaniu o swój rozwój. Oni siebie nie kochają, gdyż za mało są kochani przez rodziców i w ogóle dorosłych. Ujawniło się to, gdy zrobiłem im sprawdzian polegający na tym, że mieli rozwinąć podane cytaty z Ewangelii. Napisali bardzo ciekawe prace, więc powiedziałem im, że jestem bardzo zadowolony, że potrafią myśleć. Zrobiło się cicho, po czym odezwała się najśmielsza dziewczyna: „A nam ciągle mówią coś odwrotnego”. Oni czują się nieakceptowani, więc akceptacja jest dla nich bardzo ważna. Szkoła nie jest w stanie zaspokoić tej ich potrzeby miłości, okazać im zainteresowania. A katecheta może, choćby częściowo. Dlatego od razu zrezygnowałem z systematycznego przekazywania im określonej porcji wiedzy religijnej. Nastawiłem się na nawiązanie ludzkiego kontaktu, żeby pobudzić ich myślenie o wierze i stymulować dojrzewanie w wierze.

Jak dociera się do ludzi, którzy nie czytali najważniejszych książek polskiej i światowej literatury, nie znają kodu kulturowego, którym mówią ludzie ze starszego pokolenia? Są jak przedstawiciele jakiegoś obcego plemienia i w podobny sposób patrzą na

dorosłych. Nie znamy swoich języków.

- Oni rzeczywiście mają chaos w głowach z powodu konsumowania produktów kultury masowej, a także ubóstwa emocjonalnego w rodzinach. To rzutuje na ich stosunek do Kościoła, mówią o nim często z agresją, wygłaszając różne brednie. Przekonałem się jednak, że polemika skazana jest na porażkę, gdyż konieczna byłaby tu gruntowna praca od podstaw. Na to nie ma czasu ani warunków, zresztą oni bronią swego, traktują polemikę jako swoisty ring, na którym chcą znokautować dorosłego przeciwnika. Mimo wszystko nie unikałem polemik, brałem takie prowokacje za dobrą monetę i później nieraz przepaszali mnie za swoje zachowanie.

Ale najważniejsze to dotrzeć do ich serca. O ile niesłuchanie uboga jest ich formacja intelektualna i duchowa, to są przy tym ludźmi wrażliwymi na krzywdę, załknionymi i spragnionymi miłości. I mają nieraz bardzo bolesne doświadczenia życia uczuciowego we własnych rodzinach. Gdy tylko dotykałem tej wrażliwości, zapadała cisza. Gdy odwoływałem się do ich doświadczeń, zranień, lęków i niepokojów, gdy pokazywałem, że ich rozumiem, zyskiwałem ich zaufanie i mogłem poruszać bardzo ważne i głębokie tematy. Mówić o Jezusie z Ewangelii, o błogosławieństwach, eschatologii, etyce seksualnej i miłości małżeńskiej, o historii Kościoła – właściwie o wszystkim. Pod warunkiem że dotknąłem tej struny, która głęboko tkwi w każdym z nich.

Miałem na przykład klasę, która była wyjątkowo niesubordynowana, może dwie, trzy osoby patrzyły na mnie, starając się wynagrodzić mi wzrokiem moje wysiłki, reszta rozmawiała, więc prowadzenie lekcji było niemożliwe. Do czasu, gdy opowiedziałem im prawdziwą historię, jak z żoną przygarnęliśmy bezdomnego psa skopanego przez ludzi, jak się nim opiekowaliśmy, leczyliśmy. Przez 40 minut słuchali mnie w absolutnej ciszy. Na koniec powiedziałem, że skoro pies tak potrzebuje miłości, to co dopiero powiedzieć o człowieku. I zacząłem mówić im o Jezusie.

Oni zidentyfikowali się, może nieświadomie, z tym psem. Z drugiej strony dał im Pan świadectwo, nie omawiał w sposób akademicki dogmatów wiary. Nie teoretyzował Pan, ale mówił o autentycznym przeżyciu.

- Wtedy rzeczywiście zaczyna coś iskrzyć. Wielką szansą są również rzadkie zdarzenia, gdy oni sami o coś zapytają. Ale na to trzeba zapracować. W innej klasie, gdzie lekcje też szły jak po grudzie, któregoś dnia, nim wyciągnąłem konspekt z zaplanowaną lekcją, jedna z dziewczyn podniosła rękę i zapytała, czy jej koleżanka, która dokonała aborcji, pójdzie do piekła. Zapadła cisza i wszystkie oczy były we mnie wpatrzone. Zacząłem mówić o grzechu ciężkim, poczuciu winy, piekle, sądzie nad nami, spotkaniu z Jezusem, o przebaczeniu i miłosierdziu Bożym. Zadawali dalsze pytania i była to jedna z najwspanialszych lekcji, jakie w tej szkole przeprowadziłem.

Wielu księży i biskupów mówi o agresji, wręcz chamstwie młodzieży wobec katechetów. Czy to jest wołanie o miłość, które należy odczytać i zaspokoić ten głód?

- Intuicja podpowiada mi, że oni, opuszczeni przez świat dorosłych, są bardzo zagubieni. Jednocześnie stawia im się ciągle bardzo wysokie wymagania, czują się więc potępiani. Gdy przychodzi do nich ksiądz lub świecki katecheta, poddają go próbie, prowokują go, by usłyszeć znajome słowa: jesteście beznadziejni, do niczego, mam was dość. Prowokują do odrzucenia, gdyż wówczas wszystko wróciłoby do normy – świat dorosłych ich odrzuca. Jest to prowokacja, której nie wolno się poddać.

Jak reagować na takie zachowania?

- Trzeba przyjąć ten krzyż. I pamiętać, że katecheza w szkole jest pierwszym i najtrudniejszym frontem pracy misyjnej Kościoła w Polsce. Niestety, mam poczucie, że władze kościelne nie podejmują tego wyzwania. A do szkoły powinni iść księża i świeccy z prawdziwym charyzmatem, ze zdolnościami pedagogicznymi i autentycznym zaangażowaniem, z poczuciem służby i gruntownym przygotowaniem intelektualnym – zwłaszcza do liceum. Nie można posyłać kogoś, kto usiłuje tylko przetrwać.

Z tego, co Pan mówi, wynika, że tę młodzież trzeba najpierw kochać i leczyć jej zranienia, a dopiero później robić wykłady o Trójcy Przenajświętszej.

- Trzeba też brać pod uwagę fakt, że wiek 15-17 lat to czas gruntownych przewartościowań, szukania własnego „ja” i odrzucania świata dorosłych. To rzutuje także na wiarę. Rzadko spotyka się osoby, które dorastając, nie przeżywają kryzysu wiary. Gdy

rodzina jest zdrowa, te kryzysy są mniej niebezpieczne. Jednak zdrowych rodzin jest niewiele. Dlatego wszystkim klasom mówiłem, że wiara jest spotkaniem człowieka z tajemnicą Boga, zaś człowiek nieustannie się zmienia, więc to spotkanie jest dynamiczną przygodą. Ja też jestem w jakimś momencie drogi do Boga, oni są w innym – i możemy sobie nawzajem wiele dać. Oni kwestionują, krytykują, badają autentyczność wiary. To normalne, ja to rozumiem i chcę im w tym towarzyszyć. Wyciągnąłem rękę do wątpiących. Powiedziałem im też, że nie będę stawiał stopni za praktyki religijne, gdyż jest to tajemnica między nimi a Bogiem. Naturalnie zachęcałem ich, aby chodzili do kościoła, pytałem, jakie były czytania w ostatnim tygodniu.

Cenny wkład w lekcje religii wnoszą osoby wątpiące i poszukujące. Doszło nawet do paradoksu – w klasie, w której były osoby pobożne, ale może trochę pobożnością starszego brata z przypowieści o synu marnotrawnym, lekcje szły jak po grudzie. Natomiast w równoległej klasie, gdzie przeważały „niedowiarki”, lekcje szły jak na skrzydłach, gdyż oni szukali prawdy. Ukazywałem im wiarę jako wielką przygodę, w której realizujemy nasze człowieczeństwo, i drogę do szczęścia. I tak próbowałem ich ewangelizować. Miałem jednak świadomość, że w każdej klasie jest kilka głęboko wierzących osób, którym to nie wystarcza i którym trzeba dać solidny pokarm, wprowadzać w konkretne tajemnice wiary, przekazywać wiedzę o dogmatach, Biblii, zagadnieniach moralnych. Pochodzili oni z kochających rodzin i sądzę, że z nimi można by realizować taki program jak przed wojną, uczyć ich systematycznie, oczywiście odnowionej teologii, używając dzisiejszego języka. W obecnej szkole jest to niemożliwe.

Jestem przekonany, że lekcje religii w szkole są bardzo ważne, gdyż są szansą dotarcia do tej młodzieży, która w ogóle nie ma kontaktu z religią. Kiedyś pod koniec roku zapytałem „trudną” klasę, co trzeba zrobić, aby słuchali. Odpowiedzieli mi twardo, że nie ma takich metod. Spytałem jeszcze, kto z nich chodziłby na religię, gdyby była przy parafiach. Okazało się, że garstka. Dlatego uważam, że katechezie w szkole, która dociera do szerokiego, obojętnego religijnie grona uczniów, musi towarzyszyć żywe duszpasterstwo przy parafiach, które objęłoby tych nielicznych, głęboko wierzących młodych ludzi. Niestety, takich grup przy parafiach jest niewiele.

Jaki język był dla nich zrozumiały?

– Trzeba szukać tego języka. Próbowałem odwoływać się do znanych im realiów. Zawsze bardzo udawała się lekcja o Trójcy Przenajświętszej. Mam piękną kopię ikony Andrieja Rublowa, którą podarował mi mój przyjaciel – pustelnik. Przynosiłem ją zawiniętą w ręcznik. Rozwijalem ją przy nich i pytałem, co to jest. Gdy mówili mi, że obraz, odpowiadałem, że ikona. A z czym kojarzy im się to słowo? Z ikonką w komputerze. Tłumaczyłem im, że tak jak ikonka w komputerze otwiera jakiś program, tak ikona również otwiera nas na inną rzeczywistość. Na rzeczywistość Boga. Później rozmawialiśmy o samym obrazie, o jego bogatej symbolice.

Jacy powinni być katecheci?

– Powinni okazywać akceptację i zrozumienie. Sądzę, że bardzo cenne byłoby przywrócenie funkcji prefekta, tak jak było to przed wojną. Powinien to być ksiądz z charyzmą, którego jedynym obowiązkiem byłoby bycie z młodzieżą. Co do innych nauczycieli religii – moim zdaniem nie jest sprawą rozstrzygającą, czy nauczają jej katecheci świeccy, czy księża. Najważniejsze jest, aby byli to ludzie słuchający młodzieży, okazujący jej szacunek, którzy jednak nie próbują się młodzieży za wszelką cenę przypodobać i nie kapitulują podczas „próby sił”. Bez wątpienia świecki ma czasem łatwiejszą sytuację. Gdy moi uczniowie dowiedzieli się, że mam trzech dorosłych synów, spojrzeli na mnie inaczej. A gdy powiedziałem im, że w małżeństwie przeżyłem trzydzieści lat, mogłem wejść z nimi w relację paraojcowską. A kryzys ojcostwa jest ogromny, dlatego obecność nauczyciela mężczyzny w szkole, także katechety, jest bardzo cenna. Ksiądz lub katecheta może być jedynym pozytywnym wzorcem mężczyzny, z którym stykają się uczniowie, przede wszystkim chłopcy. To wielka szansa także dla ich rozwoju psychicznego. Kiedyś mówiłem na lekcji o czystości, małżeństwie i etyce seksualnej. Czułem, że jest to jakby rzucanie grochem o ścianę. Za to, gdy zacząłem im opowiadać w sposób bardzo szczerzy o własnym małżeństwie, nie kryjąc trudności, znowu zapanowała martwa cisza. A to zawsze znak, że trafiam w jakiś bolesny punkt. Oni po prostu nie mają dobrego doświadczenia, gdyż obserwują małżeństwa swoich rodziców. Dopiero wtedy, gdy odniosłem się do życia z całym realizmem, otwarli się na wszelkie prawdy, które wcześniej chciałem im przekazać, a oni twardo je odrzucali.

Dlaczego Pan odszedł po dwóch latach?

– Te lekcje całkowicie mnie pochłaniały. Działo się to kosztem rodziny, którą zaniedbywałem. O moim odejściu zdecydowały także względy finansowe. To bardzo istotne – jeżeli ten najważniejszy front pracy misyjnej w Polsce ma sprostać wyzwaniom czasu,

które są ogromne, muszą znaleźć się środki na opłacanie katechetów na godziwym poziomie. I trzeba do katechizacji kierować najlepszych. Przecież w Polsce jest z czego wybierać – kilkanaście tysięcy studentów studiuje dziś teologię. Znowu wracam do postulatów o wznowieniu funkcji prefekta. W przeciwnym razie grozi nam szybka dechrystianizacja.

Kraje południowej Europy, które kilkaset lat żyły w kompletnej izolacji z powodu niewoli tureckiej, zeuropeizowały się w szybkim tempie dzięki szkolnictwu. Prawie niepiśmienni rodzice posyłali swoje dzieci do znakomitych szkół, często prowadzonych przez zakony katolickie. I to się udało. Czy nie sądzi Pan, że w sytuacji głębokiego kryzysu rodziny, która nie kocha, nie wychowuje, nie formuje i nie przekazuje tradycji, rola szkoły jest szczególnie ważna? Że może od szkół, także liczby dobrych szkół katolickich, zależy, czy Polska oprze się dechrystianizacji?

– Jestem pewien, że dziś coraz więcej zależy od dobrej szkoły. Dlatego należy tworzyć szkoły katolickie, a do pozostałych posyłać najlepszych ludzi. To powinna być wielka troska proboszczów. A także całej wspólnoty parafialnej. Lepiej nie wstawić nowych witraży w kościele, ale znaleźć środki na zatrzymanie dobrych pedagogów. Jeżeli rodzina daje tak niewiele, rola szkoły wzrasta.

Czy po tych dwóch latach zauważył Pan zmianę w swoich uczniach?

– Sądzę, że w większości wypadków katecheta nigdy nie będzie oglądał owoców swojej pracy i że nie powinien na to liczyć. Ale ucieszyłem się, gdy na rozdaniu matur jeden z moich uczniów powiedział mi, że już parę razy w życiu przydało mu się to, co ode mnie usłyszał. Nigdy nie zapomnę życzeń, jakie na oplatku, który urządziłem w grudniu w każdej klasie, złożył mi po cichu jeden zbuntowany 17-latek z kolczykiem w uchu: „Niech pan nigdy nie straci wiary w nas”.

Rozmawiała Alina Petrowa-Wasilewicz, 06-09-2002, Katolicka Agencja Informacyjna

Wydrukowano z serwisu lutownica.dominikanie.pl. | Zrób to po swojemu i napisz jak Ci wyszło.